

KSIĘGA PAMIĄTKOWA WIELKIEJ WOJNY!

Dzieło to, wydane pod skromną nazwą **Kalendarza „Nowości Ilustrowanych“ na rok 1916**, zawiera **ilustrowany zbiór dokumentów obecnej wojny i jej dziejów na ziemiach Polski**. Oprócz opracowanej systematycznie historii wydarzeń wojennych (wraz z chronologią), poszczególne działy „Kalendarza“ dają tak w opisach, jak i w fotografiach, wyczerpujący obraz **zniszczenia w Polsce, polskiego tułactwa wojennego i działalności bojowej Legionów**.

Już tylko niewielka liczba egzemplarzy tego pamiątkowego wydawnictwa, które powinno znaleźć się w każdym domu polskim, jest do nabycia w Administracji „Nowości Ilustrowanych“ po cenie:

1 kor. 50 h. za egzemplarz broszurowany, **2 kor.** za egzemplarz oprawny i **3 kor.** za egzemplarz w płóciennnej, ozdobnej oprawie.

Kronika tygodniowa.

Wakacje zaczęły się już w całej pełni, kogo tylko stać było na to, już łyka za miastem świeże powietrze, ja czynię to samo, ale na razie tylko na plantacjach, bo to jeszcze nic nie kosztuje, choć zapowiadają, że w najbliższym czasie zaprowadzone zostaną tak zwane „*luftkarty*“.

Dlatego zaś dotąd nie wyjechałem, domyśli się zapewne łatwo każdy, kto był kiedykolwiek w tem, co ja położeniu. Wystarczy powiedzieć, że nie dopisały pertraktacje o zaciągnięciu długoterminowej lub krótkoterminowej pożyczki. Powiodło mi się tak, jak rosyjskiemu ministrowi skarbu, panu Barkowi, który objechał całą koalicję, wszędzie mu obiecywano, a wynik był bardzo smutny. Taka sama zaś koalicja istnieje i na naszej „czarnej giełdzie“. Cenzura wekslowa, która codziennie w południe zbiera się pod kościółkiem św. Wojciecha, w razie zaś niepogody w sieni kamienicy przechodniej, skąd najłatwiej robić „wypadki“, jest bardzo stanowcza, raz wypowiedziane „nie“ nigdy nie bywa cofniętem, chyba, gdyby klient „wzmocnił“ weksel jakimś bardzo fein podpisem, równającym się podkładowi złota dla wydawanych papierów bankowych. Złota owego czasem przecież niema, wzmacniający podpis także niekiedy działa raczej osłabiająco, ale skoro musi być, trudna rada. Ja swoje, bankierzy swoje. Na tym właśnie wzmacniającym podpisie rozbiły się rokowania, żaden bowiem nie miał odpowiedniej siły, choć jeden pochodził z ręki jegomościa, dla którego podnieść dwieście kilo to fraszka, drugi zaś należał do pana, łamiącego z łatwością podkowy.

Nie, to nie! — powiedziałem sobie i siedzę w Krakowie, od czasu do czasu narzekając na zbliżającą się kanikwę, która już teraz daje się we znaki i na sezon ogórkowy, obecnie bardzo drogi. Lubię mizerię, lubię i kiszony ogórek, ale teraz, aby sobie móżdż pozwolić na podobny zbytek, trzeba być co najmniej milionerem, choćby zresztą kamienicznikiem, lub wygrać na loteryi. A tu właśnie pierwsza klasa loteryi zawiodła moje oczekiwania. Kupiłem ósemkę losu, pewny, że Fortuna mi dopisze, niestety, stało się zupełnie inaczej.

Niechaj jednak nikt nie myśli, że łykanie powietrza świeżego na Błoniach lub plantacjach miejskich pozbawionem jest niebezpieczeństw, na jakie narażony jest na przykład ktoś, czyniący to samo dajmy na to w Zakopanem i drapiący się w tym celu po różnych Gewontach, Nosalach, Gubałówkach i tym podobnych. Tam można co najwyżej zlecieć w przepaść i tam kark skrócić; tutaj czeka na ciebie coś w tym rodzaju, ale na równej drodze. Dawniej,

gdy było w modzie tak zwane „diabolo“, którem bawiły się nasze pociechy, byłeś ciągle w strachu, że taki sympatyczny przyrząd spadnie ci lada chwila na łeb, zadzierając też głowę do góry, upatrując zbliżającego się nieprzyjaciela i nieraz rozbiłes z tego powodu cyferblat o latarnię, która nie chciała ci się z drogi usunąć, lub, co najmniej, ściągnąłeś na się podejrzenie, że jesteś dumnym człowiekiem, nie wiedzącym nawet, dlaczego nos do góry zadziera. A ty tyle byłeś winien, co ów chłopiec, któremu zrobiono kamizelkę z ineksprimabli papy i to do tego z części oficynowej.

Dzisiaj, dzięki Bogu, owe „diabolo“ poszło już w zapomnienie, z przestworzy powietrznych nic ci więc nie grozi, chyba nietakt kawki lub wrony, nic sobie nie robiących z przepisów magistratu o zanieczyszczaniu miejsc publicznych, niebezpieczeństwo zaś ściga cię na udeptanej drodze pod postacią modnej obecnie obręczy i goniącego za nią z patykiem aniołka płci męskiej lub żeńskiej. Ani się spostrzegłeś, jak obręcz wpadła ci pod nogi, tracisz naturalnie równowagę i wysypujesz się jak długi, gniotąc obręcz, na ciebie przewraca się ów aniołek... Obok stojąca mama albo ciocia, zamiast cię przeprosić, jeszcze wsiądzie na ciebie, dlaczego przeszkadzasz dziecku w zabawie.

— Trzeba się było usunąć! — powiada z niechęcią, lustrując twą postać od stóp do głów, czy wypada odzywać się do „byłe kogo“.

Ja jej tłumaczę, że winy absolutnie nie ponoszę, gdyż „w plecach“ oczu nie mam, nie mogę więc dostrzedz, co się dzieje poza mną, to ją przecież nie wzrusza, czuję, że miałaby ochotę, tak, jak owa mama z przed dwu tygodni, nazwać mnie gburem i grnbianinem.

Zabawa obręczą jest bardzo piękną, sam jej też ongiś hołdowałem, gdyż wyrabia siły i apetyt, odbywać się przecież powinna nie na miejscach, przeznaczonych do spaceru, ale na specjalnych zabawowych. Andrusy z gmin podmiejskich, którzy także przyjęli obręcz i uganiają za nią po chodnikach ulicznych, są o tyle grzeczniejsi, iż, doganiając cię z tyłu, wołają przynajmniej: „na bok“ i w ten sposób chronią cię od upadku, który w późniejszym wieku może mieć nawet przykre następstwa. Znam jednego pana, który z tego właśnie powodu upadł i złamał sobie po prawej stronie trzy... cygara włoskie, a wiadomo, jak teraz ciężko o materiał do palenia.

Ze względu więc na te „przyjemności“ daje sobie człowiek spokój z łykaniem świeżego powietrza tam, gdzie go właściwie szukać się powinno, urządza natomiast, zmuszony koniecznością, inłalacje zgęszczonego powietrza w tej lub owej knajpcie, gdzie przynajmniej nie potrzebuje się obawiać owej obręczy. Dawniej o tym czasie gwaro było w tych lokalach i wesoło, gdyż słomiani wdowcy zaczynali tu używać owej długo upragnionej złotej wolności, dziś i słomianych wdowców brak, więcej natomiast słomianych wdów, szukających pocieszyciela... Ale o tem, mnie, czelkowi statecznemu i do tego znanemu, nawet wspominać nie wypada.

Wobec tego przechodzę wprost do polityki, zwłaszcza, że odezwała się znówu pani de Thébés, która powiada, co następuje:

„Przepowiadam, że obecna wojna zakończy się jeszcze w bieżącym roku. Twierdzą także z całą pewnością, że wbrew przeciwnym zapatrywaniom i opiniom wojna zakończy się w bardzo niedalekiej przyszłości, a to wtedy mianowicie, kiedy ludzie najmniej się tego będą spodziewali i w sposób, najmniej oczekiwany przez cały świat. Nie przyjdzie już wcale do nowej kampanii zimowej... jeszcze raz...: Małe, nieznaczące, prawie niezrozumiałe wydarzenie zakończy ją!... Ziarno piasku zmusi działa i karabiny na obu frontach do milczenia“.

Aczkolwiek baba gadatliwa, nie chce pani de Thébés powiedzieć, jak wygląda owo ziarno piasku i skąd i kiedy spadnie, ale i za to daj jej Boże zdrowie! Jeśli się spełni, co powiedziała, sam we własnej osobie udam się do Paryża, by na jej ręczce wycisnąć gorący pocałunek podziękowania, albo po prośbę mego adwokata, by mnie zastąpił.

Otucha więc wstąpiła we mnie, zaczynam bardziej różowo zapatrywać się na sytuację, bo chyba paryska wieszczka się nie myli, choć nieraz już wywiodła nas w pole. Czekajmyż przecież, do zimy znów nie tak daleko!

Tyle z polityki, sądzę, wystarczy, teraz kolej na mody. Niedawno „Kuryerek“ pomieścił artykuł p. t. „Epoki i stroje“, w którym dowodzi, że strój człowieka i dana epoka stoją w ścisłym, niezmiernie ciekawym, a dla znawcy zrozumiałym związku. Związek ten jest tak ścisły, że, wspominając jakiś okres historyczny, mimowoli mamy równocześnie przed oczyma charakterystyczne stroje danej epoki. Zaczyna od listka figowego prababki Ewy, kończy zaś na krynolinie cesarzowej Eugenii.

„Tu kończy się epoka stylu — powiada *Kuryerek*. — Obecnie błądzimy, jak pociemku w poszukiwaniach jego, nowego stylu życia, mieszkania, stroju, literatury. Z każdej epoki chcielibyśmy coś wziąć, przyswoić sobie, ukraść, ale w kradzeniu nie jest nigdy dobrze. Dajemy się powodować i ograbiać przez łotrzyków, buszujących w przetrzebionych gajach sztuki, padamy ofiarą piratów nożyc i łokcia.“

Tak sprawy stały aż do wybuchu wojny. Wojna położyła kres wszystkim wybrykom i szaleństwom mody. Zwrócono się do tanich materiałów i uproszczonych krojów. Z konieczności zrobiono cnotę, z cnoty bohaterstwo. Zwrot słuszny i sprawiedliwy. Co się jednak stanie ze stylowością i charakterem epoki? Nic! Żyjemy w czasie bezstylowym, bezbarwnym. Czerwony kolor krwi chłonie wszystkie barwy. Dymy, zgłiszczają i pogorzeliska zasłaniają nam wzrok. Nie czas nam myśleć o stylach!...“

Tyle *Kuryerek*. Czy jednak miał rację, przekonają się Czytelnicy z listu, jaki otrzymałem onegdaj od jednego z kolegów po piórze.

Brzmi on (list, nie kolega!) jak następuje:

„Kochany Kolego Kronikarzu!

Jakkolwiek zawsze współczułem Ci bardzo, opłakując razem z Tobą losy Twego pożycia z Weronią, dziś patrzę na Ciebie z zazdrością, jako na męża tej przeznaczonej matrony... Bo Jej to niewątpliwie zasługa, że do tychczas obcy Ci jest najgroźniejszy wampir ludzkości, to jest sprawa mód... A tymczasem patrz, co się dzieje na świecie... Prawda, Ty tego nie spostrzegasz, bo poza ukochaną Weronią nie widzisz nawet innych kobiet... Więc pozwól, że otworzę Ci oczy... Przejdź się po Plantach i po Błoniach w godzinach „defilady“... Doprawdy, cudny obraz. Zapomnisz o rozmaitych brakach, o rozmaitych kartach, o wojnie, o rannych, o trupach... Nigdy jeszcze w Krakowie nie było takiej idylli, jak właśnie w obecnym roku 1916 — trzecim roku wielkiej wojny... Przyszłam się, że już osłepłem prawie, patrząc na tę maskaradę nimf, rusałek, pasterek i „białych aniołów“, które snują się obecnie po Plantach, Błoniach i ulicach Krakowa... Pesymiści gotowi byli sądzić, że najstraszniejsza w dziejach wojna, że miliony ciał, że zasiana zgłiszczami i krzyżami ziemia polska okryje żałobą przynajmniej czułą, tkliwą duszę kobiet polskich! Co za naiwne przypuszczenie! Co znaczy wojna, co znaczą trupy i krew — wobec mody! Pomijając już tę idylliczną imitację „białych aniołów“ i pasterek w roku wojny i żałoby, popatrzmy przede wszystkim na ich potworne kształty... Ponieważ wszystkiego w tem królestwie mody brak, więc widimy właśnie nadmiar kształtów... Suknie wprawdzie krótkie (przypominające strój cyrkówek przed skokiem na konia), ale zato szerokie (cztery do pięciu metrów materiału, gdy dawniej, w czasach pokojowych, wystarczało dwa metry!).

Okazuje się, że, jak mężczyźni „rządzą światem, a nimi kobiety“, tak i wojna, choć opanowała cały świat — musiała jednak uleść potędze bogini kobiet — modzie...

Warto ten fakt zanotować w pamiętnym roku 1916... Bo dawniej kobiety polskie nie okazywały tak niezwykłej odporności... Po powstaniu 63 roku, choć było ono kroplą w morzu krwi polskiej, jaka płynie teraz, aresztowano i pakowano do cytadeli kobiety polskie w Warszawie za to, że nosiły żałobę po swych poległych braciach...

Dziś otrząśnaliśmy się z tego śmiesznego sentymentu. Tam płynie krew — a tu mamy maskaradę uroczych nimf, pasterek i „białych aniołów“...

Na tem kończę — boję się tylko, aby tego listu nie przeczytała wypadkiem Twoja zacna Weronia, bo przykład jest zaraźliwy i Ona gotowa jeszcze na złość przeistoczyć się w jakiegoś anioła, czy pasterkę, (kapeluszyk najtaniej 45 koron!), co nie daj Boże, Amen.

Twój

Nemo.

A teraz proszę mi powiedzieć, kto ma rację, *Kuryerek*, twierdzący, że o wariacjach mody nikt w czasie wojny nie myśli, czy też mój przygodny korespondent, utrzymujący coś wręcz przeciwnego?... Zdaje mi się, że chyba ten ostatni. Wyobrażam sobie, jak cudownie wyglądałaby moja Weronia w kostymie pasterskim. Zdecydowałbym się nawet kupić wówczas barana, niechby go pasła na Błoniach, potem mielibyśmy wyborną pieczeń. A ja lubię bardzo baraninę, ale dobrze szpikowaną i z porządnym sosem śmietanowym.

Aż mi ślinka idzie na samo wspomnienie, wobec czego kończę!